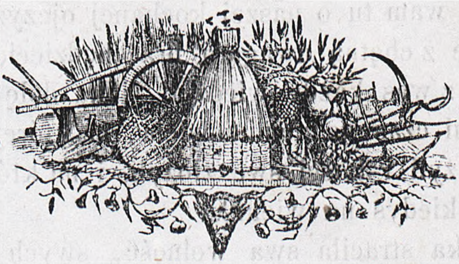
Tom XIII. Nr. 1.

1. lipca 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Polska po swym upadku.

I. O Napoleonie, o legionach polskich i o jenerale Dąbrowskim.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, mili bracia rolnicy! Czas płynie jak woda, a czy to w szczęściu czy niedoli jednako mija dla ludzi. Oto już właśnie tego roku 70 lat calutkich minęło, jak Austrja, Prusy i Moskwa rozdzielili po raz trzeci pomiędzy siebie Polskę, tak że już z niej ani kęsa ziemi nie zostało swojego. Rozpowiedzieliśmy wam już o wszystkich królach polskich, jak który po sobie następował, co każdy z nich zrobił dla ojczyzny naszej miłej i jaki był dla Polaków, wypisaliśmy wam jak to ostatni król polski Stanisław August zgubił Polskę i zaprzedał ją w obce ręce, jak się dzielnie jeszcze potem bili Polacy za swoją ziemię, jak pan naczelnik Kościuszko gromił Moskwę z kosynierami, ale w końcu musiał uledz okrutnej przemocy i dostał się w ręce moskiewskie, jak potem Moskale pod okrutnikiem Suwarowem, swym jenerałem, mordowali w Warszawie, i jak też w końcu samym, aż się serce krwawi na samo wspomnienie, w roku 1795, dnia 26 kwietnia resztkę Polski rozebrali sąsiedzi pomiędzy siebie!...

Otóż teraz, kochani bracia, opowiadać wam będziemy, co się działo w Polsce po jej upadku. Mamy zaś nadzieję, że wszystko to, co wam tu o naszej kochanej ojczyźnie wypiszemy, czytać będziecie z chętną uwagą i brać będziecie sobie do serca jej dzieje, aby z was każdy wiedział, jaką dolę i niedolę przechodziła różnemi czasy ta ziemia święta, na której jego dziadowie i pradziadowie żyli i kości swe złożyli, i na której każdy z nas także spocznie kiedyś na wieki!...

Choć Polska straciła swą wolność, swych królów i swój rząd własny, to przecież nie zginęła jeszcze i nie zginie nigdy, skoro kochać ją będziemy w cnocie i wzajemnej miłości, bo Pan Bóg nie dopuszcza, aby narody marnie ginęły ze świata! To też po ostatnim rozbiorze Polski, choć w niejednem nieszczęściu i nie pod jedną klęską, Polacy zostali Polakami — a Pan Bóg chociaż Polskę pokarał, to ją przecież nie opuścił na zawsze. Pokarał Pan Bóg Polskę, ale jeszcze srożej pokarał tych ludzi, co ją zdradzili haniebnie, choć sami byli Polakami.

Wymierali ci zdrajcy powoli, a sumienie ich srodze dręczyło. Adam Poniński, co przy pierwszym rozbiorze zaprzedał Polskę Moskalom, potłukując się z kąta w kąt, umarł w Warszawie u swego dawnego sługi za piecem, który mu z miłosierdzia od czasu do czasu łyżkę strawy podał. Insi ludzie ze zgrozą odwracali się od Ponińskiego, a nawet nieprzyjaciele Polski, jak im się już na nic nie zdał, gardzili nim i grosza mu na życie nie dali. Branicki, co w Targowicy zdradził ojczyznę, spijał się jak niestworzenie, a po pijanemu rwał się do szabli i rąbał Moskali, za co po trzeźwemu suto im złotem sypał. Umarł wśród takiego opilstwa między Moskalami. Jego kamrat podły, Szczęsny Potocki, nigdzie pokoju znaleźć nie mógł, dostał też mankolji z której umarł, a powiadają iż mu to ztąd przyszło, że raz z daleka usłyszał jak lud ruski w jego własnej wsi spiewał piosneczkę, która się zaczynała:

Panie Potocki, Wojewódzki synu,
Zaprzedałeś Polszczę, Litwę, Ukrainę.

Kościuszkę car moskiewski kazał wypuścić i darował mu wiele pieniędzy. Ale skoro jeno Kościuszko był za moskiewskim krajem, odesłał mu te pieniądze nazad, nie chcąc plamić swoich

przeczystych rąk tym groszem. Pojechał do Ameryki, gdzie go z otwartem sercem przyjęli i prosili, aby przyjął majątek za przysługę, którą oddał ich ojczyźnie. Przyjął Kościuszko ten dar od wolnego ludu. Ale nie był to już ten dawny Kościuszko, młody i wesoły, jeno smutny i strapiony po stracie drogiej ojczyzny, wszędzie mu ciężko i tęskno było. Jeździł więc z miejsca na miejsce, aż przyjechał do Szwajcarji i tam osiadł.

Tymczasem Polacy nie przestali kochać swej Ojczyzny i pracować dla jej wybawienia. Wszyscy jeno myśleli a myśleli, jakby to jej pomódz w upadku. Zaczęli się więc jedni skupiać na Tureczczyźnie ku polskiej granicy, aby jak czas po temu będzie, zbrojno wejść do kraju. Zebrało ich się tam do 3 tysięcy. Inni znowu przedzierali się do Francyi, gdzie była pod ten czas wielka rewolucja, a Francuzi swego własnego króla z tronu zrzucili i stracili. Z tej przyczyny inni królowie wydali wojnę Francuzom, a Francuzi zaś, aby mieć dobrą pomoc, pozwolili Polakom zbierać się z bronią w ręku, i te polskie wojska nazywały się legjonami. Francuzi bili się wtedy z Austrjakami we Włoszech, a dowodził tam nad nimi jenerał Napoleon Bonaparte, który później został sławnym cesarzem francuzkim.

Owoż kiedy się to dzieje, zaczęło się zbierać wojsko polskie nazwane legjonami. Właśnie Prusacy wypuścili z więzienia polskiego jenerała Henryka Dąbrowskiego. Sam król pruski miał wielką ochotę żeby on został w jego wojsku, i mówił Dąbrowskiemu: „Nie masz teraz Ojczyzny, to służ u mnie“. Dąbrowski mu na to: „Dobrze! Ale niech będzie 30 tysięcy polskiego wojska!“ Król pruski się skrzywił, a Dąbrowski nie mając już za czem czekać, ruszył do Paryża. Bardzo nim się tam Polacy ucieszyli i kazali jechać do Włoch do jenerała Napoleona, żeby się z nim naradził o to wojsko polskie, i żeby nad tem wojskiem został jenerałem.

Zajechał Dąbrowski szczęśliwie do Włoch, a zaraz też wojsko polskie zaczęło się koło niego zbierać, a miało na swoich chorągwiach polskie orły z napisem: „Ludzie wolni są sobie braćmi“.

Zebrało się to wojsko polskie na same trzy króle 1797., a zatem przeszło w dwa lata po wojnie kościuszkowskiej. Zbie-

gali się do legjonów Polacy ze stron wszystkich. Zaraz też prawie było pięć tysięcy żołnierza, a w niedługim czasie przyrosło go do ośm tysięcy. Znalazł się też i jenerał Wyszkowski, co nie chciał przysięgać Moskwie, i bił się przez długie lata dzielnie w legjonach, aż nakoniec poległ, a imię jego po dziś dzień ludzie ze czcią powtarzają.

Wysłano też zaraz legjony na wojnę, bili Polacy jak Bóg przykazał, aniby spisał wszystkich miast i fortec, co naodbierali, a zawsze sobie myśleli: że jak oni teraz Francuzom, to potem Francuzi im dopomogą. Ale jakoś wojna się przeciągała, Polakom się do Ojczyzny dłużyło, więc Dąbrowski powiada jenerałowi Napoleonowi, że Polacy chcą się podemknąć pod granicę i przerznąć do Polski. Napoleonowi niekoniecznie to było na rękę, już to, że mu było żal stracić tak bitnego żołnierza, a gdyby do Polski puścili Dąbrowskiego toby się wojna jeszcze przeciągnęła. Odpowiedział więc Napoleon, żeby jeszcze Polacy cierpliwie poczekali, że przecież przyjdzie kolej i na ich Ojczyznę, ale teraz jeszcze nie czas i Polacy bardziejby sobie tem zaszkodzili, niż dopomogli.

Źle się też powodziło i Polakom na Tureczczyźnie, wpadli oni do Polski, ale ich tam zaraz wygnali, a od tego czasu tak Moskal nastawał na nich u cesarza tureckiego, że ten im nakazał opuścić swoje kraje. Wszyscy też poszli do legionów, gdzie po tylu bitwach niemało żołnierzy ubyło, bo Francuzi wojowali wtedy po wszystkich końcach świata, a nawet tam za morzem w Egipcie, dokąd to uchodził św. Józef z Najświętszą Panną i dzieciątkiem Jezus przed okrucieństwem Heroda. Wysłali oni tam okrętami wojsko pod jenerałem Napoleonem, a jak tylko Austryacy nie czuli Napoleona we Włoszech, to zaraz zgromadzili wojska co mogli i poczęli bić Francuzów. Polacy prawie wszędzie szli na pierwszy ogień, ginęli też nie raz tysiącami, jak to było pod miastem Magnana, gdzie jednego dnia poległo Polaków do dwóch tysięcy. Znosili jednak wszystko ochotnie, spodziewając się, że jak oni swoją krwią okupują wolność obcych narodów, tak przecież te narody kiedyś przyjdą na pomoc znowu ich ojczyźnie. Umierali więc Polacy na

włoskiej ziemi z gorącej miłości ku ziemi polskiej. Wtenczas to zaczęły legiony spiewać tę śliczną piosneczkę:

Marsz, marsz Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Roku 1799 Francuzom bez Napoleona, który jeszcze wojował w Egipcie, szło bardzo ciężko, bo znowu wszyscy królowie wielkie wojsko zgromadzili i prowadzili na Francję. Wyprawił też na nich swoje wojska i car moskiewski pod owym okrutnym Suwarowem, co wyrznął Pragę, i z nim bili się Polacy na włoskiej ziemi po wiele razy. Padali Moskale od polskich kul jak muchy, bo gdzie jeno nasi ich spotkali, bili się do upadłego. Widząc to francuzcy jenerałowie, nie mogli się Polaków dosyć nachwalić, stawiali ich za przykład swoim żołnierzom i mówili: jak się to stało, żeście waszej Polski nie wybili? Ale żołnierz polski bywał w boju nieledwie codziennie, ubywało go więc niemało i zaledwie połowa z legionów została. A do tego doskwierała im też i nędza, gdyż nie mieli ani żywności ani odzieży jak należy, bo Francuzi nie płacili im ze swego skarbu żołdu, że to do ich wojska nie należeli. Włochowie dawali im póki mogli, ale potem kraj zniszczony wojną nie miał i czem płacić.

Powrócił nareszcie jenerał Napoleon z Egiptu, zaraz też Dąbrowski ruszył do Paryża. Przyjęli Francuzi tak odważnego i mądrego jenerała, jak Dąbrowski, z wielką czcią i wzięli wszystkich Polaków na swój żołd. Poszło więc reszta legionów do Francyi, a przyrosło ich znowu z Polaków, co przyszli z moskiewskiem i austryackiem wojskiem do Włoch.

Od roku 1800 legiony polskie Francuzi uważali za swoje wojsko, i ani chcieli słuchać, żeby legiony na swoją rękę wojnę w Polsce rozpoczynały. Polacy znieśli i to w nadziei, że Francuzi za tyle krwi przelanej raz przecież pomyślą o uwolnieniu ich ojczyzny.

Jenerał Napoleon zaledwie zdążył zebrać 40 tysięcy wojska i z tem wyruszył do Włoch, gdzie stało nieprzyjacielskiego 300 tysięcy, ale Napoleon nie pytał: wielu ich tam, jeno gdzie

są. Nie wyszło też i miesiąca, już zbił wszystkich na miazgę. Potem napisał warunki pokoju, na które co prędzej przystali. Na to wszystko serce Polakom z żałości się krajało, bo o ich nieszczęśliwej Ojczyźnie, ani słówka, choć polska krew jeszcze się obok francuzkiej kurzyła.

Zmiarkowali to Francuzi ten żal Polaków, i bojąc się, aby sobie sami nie wymierzyli sprawiedliwości, porozdzielali ich w rozmaite strony świata. A tak jednych zatrzymali we Francyi, drugich posłali do Włoch, a trzecich na jednę bardzo daleką wyspę na morzu, co się nazywa San Domingo, czyli wyspa św. Dominika. Kazali im się tam bić z Murzynami. Ale że na tej wyspie tak gorąco, jak w piecu od chleba, więc kto się tam nie urodził, to mu ciężko i wyżyć, dla tego też z tych kilku tysięcy Polaków, co tam posłali, ledwie setny wrócił. Oj szafowali tą krwią polską Francuzi, że jak człowiek rozpomni, to doprawdy mógłby im nię darować!

Śpiewka,

jak się lud krakowski wybierał z panem naczelnikiem Kościuszką na wojnę.

Ułożył Teofil Lenartowicz.

Nie przemienić co minęło, nie wydrzeć z pamięci,
Choćby człowiek rad zapomnieć, wraca mimo chęci.
Tyle czasu przeminęło, mój ty mocny Boże!
Pług zaorał ludzkie kości a serca nie może...
Cud prawdziwy, wstają dziwy, podnoszą się z ziemi,
I to słońce Racławickie świeci się nad niemi.
Jak przed laty jasno, krasno, w polu uroczyście,
Wyrastają dawne czasy, jak wiosenne liście.

Młoda wiosna niesie krosna, świeżą trawę miekką,
Konwalije i lilije dzierzga złotą ręką;
Ciepły wietrzyk jej pomaga, wiejąc od zachodu,
Kwiat się wdzięczy, pszczoła brzęczy, będzież, będzie miodu!
Woda wzbiera, radość szczera w piersi ludzkie wchodzi;
Przez mokrzydły biało skrzydły nasz gospodarz brodzi.
Coś to będzie, coś to będzie, prosty naród gwarzy;
Wcześnie lato zawitało, może Bóg co zdarzy.

Jędrzej stary, bardzo stary, co po nocach siada,
I wciąż słucha zkąd wiatr dmucha, znów o Polsce gada.
Coś go dręczy jakby zmora zrana do wieczora,
O północy budzi ludzi, do wstawania pora!...
Przez trzy lata nic nie prawił, barciami się bawił,
Teraz barcie pozostawił, a kosę oprawił.
Gdy młódź pląsa, dziad potrząsa głową siwowłosą,
I niemiaszy wzrokiem straszy, biały jak śmierć z kosą.
Bąki bębnią w rokicinie, z góry woda płynie,
A staremu śni się w głowie, że bębnią w dąbrowie.
Na krzyk ptasi woła Basi, w polu zaśpiewanej:
— Słuchaj jeno, pono nasi biją w tarabany.
Nikt nie wierzy ojcu zrzędzie, w kraju cicho wszędzie;
Przecież serca przytakują, jednak coś to będzie,
Bo co dziecko się urodzi — krakowiaczek czysty;
Bo co owca się okoci — baranek wełnisty.
A na cóż się chłopcy radzą, jeśli nie na wojnę?
Z taką rzeczą po wsi chodzą kumy niespokojne.
I tak dzień po dniu przemija, słońce się wybija:
A czy ujrzy oko czyje, jak się kraj wybije?
Może też to wszystko baśnie, ludzkie mowy próżne,
Złote baśnie dziecię plecie, jak to kwiecie różne...

Oj! nie wszystko próżne mary, co się człeku marzy,
Przypłynęły trzy galary krakowskich węglarzy,
Przypłynęły trzy galary, na nich ludzie czarni,
Lecz gdy w sercu twym nie czarno, k'sobie ich przygarnij.
Przypłynęli z dobrą wieścią, jak bociany z wiosną,
A ludzie się przysłuchują, aż im serca rosną.
I porosły im tak serca, że aż pierś rozparły,
Rade by już wyskoczyły, rade się wydarły.
Nad obszarem, rankiem szarym wchodzi jasna zorza:
Zorza wschodzi z po za świata, Kościuszko z za morza.
Ptak szczebiota, zorza złota pobudziła ptaki,
A Kościuszko budzi ludzi, krakowskie wieśniaki.
I było tam ludu wiele przed panną Maryją,
Trąby grają, serca tają, straże w bębny biją;
A pośrodkiem z licem słodkiem, jak chłopek pośledni,
Polak dzielny, wódz naczelny, za nim ludzie biedni.

I przystanął przed kościołem i przysiągł się Bogu,
Że nam wszystkie krzywdy nasze odbije na wrogu.
Przysięgli mu posłuszeństwo na tę Bożą mękę,
Wszyscy zgodnie na starszeństwo wyciągnęli rękę.

Podpisali Krakowiany, radne pany stare,
I chłopi się zapisali krzyżem na ofiarę.

I zadzwonił na Wawelu stary Zygmunt z wieży;
Niewstrzymany, rozmachany głos po kraju bieży.
Rosi, rosi, wiatr roznosi radość niepojętą;
Dzwon potężny, lud przysiężny, w Polsce wielkie święto.
Bodajże was, bodaj, bodaj, węglarze! węglarze!
Za to z wami Krakowianka potańcuje w parze.
Serce bije niecierpliwie, to groźno, to rzewnie,
Lada ranie, na powstanie przyjdzie rozkaz pewnie.
Alboż nam to na pańszczyznę, albo na odrobek,
Wszak to bracia za ojczyznę! woła ojciec Sobek.
Posprzedajmy woły z wozem, sprzęty i poduszki,
A ruszajmy za obozem naszego Kościuszki.

Kowalczyki ognia krzeszą, aż się djabli cieszą;
Przyciągnęli wóz okuty ze starą lemieszą.
Takiej pracy, Krakowiacy, Polska nie pamięta;
Kowal kuje, nie żartuje, kują kowalęta.
Szyna szczęka, gnie się, pęka, kowale się pocą,
Co rozpalą, ciągną, walą, młotami łomocą:
Łupu cupu, raz po razie, pot zalewa oczy.
To młot grzmotnie po żelazie, to iskra odskoczy.
Przez dzień cały biją młoty, odpowiada błonie;
Jedni kują kosy, groty, drudzy kują konie.
Gospodarskie konie dziarskie od wozu odprzęgli,
A węglarze noszą wory laryszowskich węgli.

Hej bocianie, ty bocianie, ty moja pociecho!
Stoisz ci ty dumający, nad wieśniaczą strzechą;
Stoisz ci ty, ptaku miły, od zrana do zmierzchu,
Powiedz że mi, przyjacielu, co tam widać z wierzchu?
Mądry Bociek myśli dociekł, wejrzał na wsze strony.
Zmrużył oko, i szeroko rozwarł dziób czerwony,
Gardło wygiął z całej siły i począł kołatać,
Aż się wzięli wszyscy ludzie i bociany zlatać:
Maszeruje polskie wojsko prosto do wiatraku,
Czerwienią się chłopskie czapki, jakby nasiał maku.
Jedzie, jedzie nasz Kościuszko, pod nim konik siwy;
Co naczelnik, to naczelnik, to już nasz prawdziwy.
Polska dusza w polskiem ciele i w polskiej sukmanie,
Jedzie, wiedzie na Moskali krakowskie powstanie.

A lud za nim z przyśpiewaniem jak pszczoły za matką,
Nie założy chłopu drogi już żadną rogatką.
Na wojenkę kosa w rękę, kobiałka przez ramię,
A na piersi w imie Ojca przenajświętsze znamię.
I niech teraz deszcze leją, niechaj sypią grady,
Chłopi grzmocą, dniem i nocą, bo już nie ma rady.
Nikt nie zgadnie co przypadnie, siła ludu padnie;
Czyja kosa nie tknie prosa, co mu wschodzi ładnie.
Nikt kalectwa nie nagrodzi, ni wieku niedoli,
Tylkoć że to za ojczyznę i rana nie boli,
I to szczudło nie zacięży i torba dziadowska,
Kto wziął rany, ten kochany, na tym ręka boska!

Buty Sobka Bzdręgi.

Zdarzenia prawdziwe.

W miasteczku, niedaleko Częstochowy, był jarmark w wigilią św. Michała, wielki jarmark, bo kto mógł to na nim w zimowe opatrywał się potrzeby. To też i wiele tam zawsze kożuchów, butów i ciepłych czapek nasprzedawano.

Na ten jarmark św. Michała wybrał się więc i Sebastyan Bzdręga. Kożuch miał doskonały jeszcze od przeszłej zimy, a czapkę kupiła mu żona w Częstochowie już przed tygodniem, ależ potrzebował butów.

Rynek i bliższe ulice natłoczone były ludem, a i czapki moskiewskie uwijały się tu i owdzie: mizerne żołnierzyska, po większej części wzrostu małego, chude, czarniawe i brudne. A jeno im tak ślepie latały, ażeby co ukraść. Biedne to stworzenie, mój Boże! Zmizerowane, zgłodniałe, a pędzone z zmiejsca na miejsce jak bydlęta. Ale są i wielkie filuty pomiędzy nimi, byle tylko co porwać: kradzież u nich nie jest grzechem.

Bzdręga wybrał sobie buty z doskonałej skóry juchtowej, wysokie aż po kolana, dostatnie, z podeszwami prawie na palec grubemi Musiał też za nie zapłacić złotych czternaście i pół. Ale dał je chętnie, bo nigdy jeszcze tak dobrego nie miał obuwia. Wzuł je też zaraz i paradował w nich po mieście, zawiesiwszy stare na ręce, związane kawałkiem postronka. Wstąpił potem

z kumem Jadamem Sroką na lampeczkę do Dylewicza szynku na rogu, i poczęstowawszy się doskonałą anyżówką, zakąsiwszy kołaczem i wędzoną kiełbasą z czosnkiem, uściskali się i ucałowali, pospiewali sobie nawet trochę, bo Bzdręga miał się ku domowi: by jego kobieta nie krzyczała na niego, że się za długo wałęsał. Jadam wszelako jeszcze sobie na ławie zasiadł, bo i kum drugi znalazł się zaraz.

Szedł sobie Bzdręga przez ulicę podspiewując chwilami i machając sękowatym, bo na sercu wesoło mu było, zwłaszcza też, gdy sobie spojrzał na nogi i na równe popatrzał buty.

Za nim szło dwóch szarków moskiewskich i chciwie także patrzali się na one buty, czyniąc sobie znaki jakieś.

Bzdręga wyszedł z miasta i skręcił ze żwirówki ku wiosce swojej. Słonko też już miało się ku zachodowi.

Widać wszelako było, że musiał przynajmniej jednę lampeczkę jeżeli nie dwie za nadto wychylić u Dylewicza na rogu, bo mu coś tam ociężała głowa i niby senno mu było. Dochodził też właśnie do jakiegoś folwarku: za stodołą zieleniała murawa, gęsto gdyby puch, stało i wierzb pare i krzewiny tarniowe, a żywej stwory nigdzie nie ujrzał, to więc rzucił kij sękowaty, położył się na mięciuchnej murawie poza tarniną, a stare buty podetknął sobie pod głowę. Chciał przedrzemnąć się trochę, zamknął oczy, ale jakoś sen nie przychodził. Po chwili nadeszło dwoch Moskali. Bzdręga zerknął na nich, ale udawał że spi. Jeden z nich trzymał garnuszek w ręku, drugi niósł rydel. Gadali coś tam pocichu. Pierwszy wskazał drugiemu kamień pod wierzbą, a drugi przykiwnął głową, odwalił kamień i kopać zaczął. Pierwszy brzękał czemś w garnku i liczył.

Bzdręga zerknął, że aż głowę trochę podniósł: szarek liczył pieniądze! Oj, psia wiara, znać je ukradł komuś na jarmarku.

Wtem ten który kopał, obejrzał się jakoś i zobaczył leżącego za krzakami chłopa. Wskazał go drugiemu i szeptać sobie poczęli. Mówili po moskiewsku, ale Bzdręga wszelako ile dosłyszał, tyle i zrozumiał, bo już nieraz ich nasłuchał się mowy.

— On spi — wymówił jeden.

— Kto to wie! Może tylko udaje. A nużby nie spał i widział...

— Spróbujmy.

— A jak?

— Budźmy go. A jeżeli się obudzi, to my w nogi, i zakopiemy gdzieindzie.

— Schowaj no tymczasem dzięgi.

Bzdrędze aż ślina szła do gęby.

Przysunęli się do niego. Zaczęli krząkać, kaszleć, ten pociągnie go za rękę, ten potrąci o nogę — ale Bzdręga powiedział sobie: „Nie głupim!“ — i spi, jak za najlepszych czasów.

— On pewnie spi — wymówił znowu jeden.

Bzdręga zachrapał troszkę.

— Ale kto wie! I okradłby nas potem.

— To ściągnijmy mu buty, a jeżeli się nie zbudzi, to niechże sobie spi, a my dalej do roboty.

Bzdręga spał jak zarznięty. Szarki przyklękli i pochwycili go za nogi.

Bzdręga ani drgnął — a śmiał się w duszy.

— Dalej! Nu! — jeden ściągnął jeden, a drugi but drugi.

Bzdręga spał niby smacznie.

— Połóż buciska. Idźmy!

Słyszał, że coś tam jeszcze szeptali, a potem odeszli.

Po chwili Bzdręga otwiera oczy i zerka ku wierzbie i szarków nie było. Podnosi się — patrzy — nigdzie nie masz nikogo. Patrzy gdzie buty? — a butów nie masz! — Porywa się na równe nogi, biegnie, woła, krzyczy, przeklina — Ho, ho! Szarki z butami już, Bóg wie, gdzie!

Na świeżej murawie leżało tylko stare garnczysko i skorup parę.

Bzdręga zaklął wszystkimi wciurnastami — ale i cóż było robić? co począć? Gdzież było szukać złodziei? Gdzie na nich sprawiedliwości?!

Pokiwał głową — i aż zabeczał nad stratą doskonałych butów, które go kosztowały czternaści złotych i pół! Wciągnął stare buciska, i jak zmyty polazł do domu.

Oj nieszczęsne, nieszczęsneż były te lampeczki u Dylewicza na rogu!

P. Wil.

O polepszeniu łąk.

Łąki wydające obfity sprzęt dobrego siana są prawdziwym skarbem w gospodarstwie. Łąki po dolinach, nad rzekami, strumieniami i jeziorami są obfitem źródłem do utrzymania bydła w pomyślnym stanie. Łąki po wyzinach i pagórkach mniejszy pożytek wydają. Suche łąki lepiej pod pług przeznaczyć a na polu założyć trwałe łąki z koniczyny i trawy mieszanej. Z polepszeniem gospodarstwa polnego powinno koniecznie polepszenie łąk ściśle być połączone. Lecz przypatrzywszy się zblizka, jak daleko włościanie przez ulepszenie i pielęgnowanie doprowadzili swoje łąki, tedy z boleścią wyznać trzeba, że we wielu miejscach nic nie uczynili dla tak ważnej i niezbędnie potrzebnej gałęzi gospodarskiej. Wiele łąk widziałem w tak korzystnem położeniu, że gdyby właściciele mało wydatku i cokolwiek ręcznej pracy poświęcili, uzyskaliby wybore łąki, a przecież tego dotąd nie uczynili. Często woda znajduje się blisko i służyć może do zraszania lub oblewania łąk, więc wyprowadzeniem jednego rowu łąkaby się bardzo znacznie polepszyła. Położenie łąki powinno być takie, żeby trawa na niej miała dostateczną wilgoć, choćby deszcze nie padały i rosy brakowało. Łąka powinna być równa w całej rozciągłości, bo na taką słońce pomyślnie działa i sprzęt siana wygodnie się odbywa. Jeżeli brak wilgoci, tedy łąka powinna według potrzeby dać się oblać wodą i znowu osuszyć przez jej spuszczenie. Dobra łąka powinna mieć takie położenie, żeby zbyteczna woda, jak przybyła tak też odpłynąć mogła. Jeżeli łąka nie ma takiego położenia, to powinna mieć spód przepuszczalny, a skoro tego nie masz, tedy przez bicie rowów trzeba tej niedogodności zaradzić. Wolne wzbieranie wody na łąkach i wolne opadanie jej jest ważnym przymiotem dobrych łąk. Na dobrej łące nie powinny się znajdywać: kamienie, krzaki, mech, chwasty i rośliny trujące; również kępy, mrowiska, kretowiny i doły. Na dobrej łące powinny wszystkie rośliny równo rosnąć i w jednym czasie kwitnąć. Na dobrej łące powinna rosnąć trawa wierzchnia, to jest taka, która ma źdźbła kolankowate jak na przykład tymoteuszka, piernata i t. p. i trawa dolna, to jest taka,

która ma wiele drobnych listków jak np. wyka ptasia, nostrzyk pospolity itd. Natenczas sprzęt dobrego siana może być bardzo obfity. Żeby powiększyć sprzęt siana, należy łąki gnoić kompostem i popiołem. Najtańszym gnojem na łąki jest niezawodnie woda, a oraz jest najskuteczniejszą do ulepszenia i pomnożenia trawy, szczególniej, gdy ze sobą sprowadza wiele części mierzwiących; lecz szkodliwą być może wtenczas, jeżeli się jej nie roztropnie użyje. Dlatego bicie rowów tak urządzić trzeba, żeby najbliższą drogą sprowadzić wodę na łąki do oblewania, lub zraszania, i znowu przy spuszczeniu jak najbliższą drogą odprowadzić. Lecz wprzódy trzeba łąkę do tego przysposobić, to jest wszystkie górki zniżyć i kotliny wyrównać, bo w takich zbiera się woda i trawa wygnije, a rosnąć będzie sitowie, zaś na górkach wyschnie, dla braku wilgoci. Na wyniosłych miejscach zerzyna się darna, odkłada na bok, a ziemię zwozi się w dołki, udepce mocno i znowu zerzniętą darnę kładzie się na miejsca gołe. Kretowiny stare, kępy i mrowiska zbierają się łopatą, nim trawa rosnąć zacznie. Obwodnianie łąk wydaje wielkie i pewne korzyści, które powinny gospodarzy zachęcić do większego rozpowszechnienia takiego ulepszenia, niż się to dotąd uczyniło. Obwodnianiem łąk tępi się wiele szkodliwych zwierząt jak: myszy, kretów, pondraków i mrówek, jako też mchu i chwastów lubiących suchość. Każdy gospodarz powinien swoje łąki ulepszać, do czego posłuży mu czas późnej jesieni, lub zimowy, o ile powietrze jest sprzyjające, bo w tym czasie najmniej potrzeba w gospodarstwie ręcznej pracy.

Jak wasze łąki zrównacie i odpowiedniemi rowami zaopatrzycie, a wody będzie w pobliżu podostatkiem, tedy będziecie mogli małą ilością wody łąki oblewać, co się zowie zraszaniem. Zrasznie łąk jest to najwyborniejszy sposób dla gospodarza, gdyż nie troszczy się o wpływ powietrza, nie oczekuje w czasie posuchy deszczu, bo jest w jego mocy trawę otrzeźwić mokrością w tej chwili, kiedy największy skwar dopieka. Zraszaniem najnieurodzajniejszą łąkę można na żyzną zamienić. Na wiosnę rychło można zacząć zraszać łąki wtenczas, kiedy przypływająca woda zawiera wiele gnojnych części. Jednakowoż po odtajaniu mrozów sucho otrzymują się łąki, a rozpoczyna się zraszanie

jak już ciepło i trawa rosnąć zaczyna. Jeżeli jest zimno i wiatry panują, trzeba się wstrzymać od tej roboty. Latem zraszają się łąki tak, żeby trawa miała dostateczne ciepło i wilgoć. Jeżeli zaś jest czas wilgotny, tem mniej, a im większa susza panuje, tem częściej zraszać trzeba. Jeżeli deszcze padają, wcale się nie zrasza. Nagła odmiana ciepła i zimna szkodzi trawie, więc też nie należy podczas wielkiego upału wody, ani wpuścić ani spuszczać, tylko pod wieczór, lub rychło rano. Na dwa tygodnie przed koszeniem łąk ustaje zraszanie. Po sprzęcie siana za dwa tygodnie znowu się rozpocznie, które należy popowtarzać, aż do sprzętu potrawu. Jeżeli na łące rośnie wiele rozmaitej koniczyny, nie trzeba długo wody na niej zostawiać, żeby ze zbytniej mokrości nie wymarnowała się. Jeżeli spód łąki jest piaszczysty, lub pulchny a tem samem przepuszczalny, można łąkę taką dłużej trzymać pod wodą, aniżeli gdy grunt jest spoisty. Jeżeli powietrze jest wilgotne, można wstrzymać zraszanie. Im mniejszy mają łąki spadek, tem króciej powinna woda się trzymać na nich. Bezprzestannie nie można łąk zraszać, lecz trzeba je też sucho pozostawiać, gdyż potem nowe zroszenie tem lepiej skutkuje. Jeżeli zraszanie ma być pożyteczne, powinno się tak odbywać, żeby cała łąka równo była wodą oblana. Łąki kwaśne zamulone można mocniej wodą oblać, gdyż ona wypłócze zgniłą wilgoć i wytępi mech.

Drugi sposób ulepszania łąk jest zalewanie wodą na dłuższy czas. Tak jak już powiedziane o przysposobieniu łąk do zraszania, tak też i do tego powinny mieć płaszczyznę równą, jako też rowy i śluzy. To urządzenie powinno być takie, żeby nietylko woda zalała całą łąkę, lecz także, żeby potem z łatwością spuścić ją można. Tego sposobu zalewania łąk używa się na jesień, albo tylko na wiosnę, skoro mrozy rozpuszczą, a woda wtenczas dopiero spuści się czyli odprowadzi, jak już trawa rosnąć zacznie i przymrozków nie spodziewamy się. Jeżeli później mają się łąki zalać, tedy wodę na nich krótko trzymać wypada. — Podając te pożyteczne uwagi dla wieśniaków, pomyślałem sobie, że mało będzie takich, którzy uznają prawdę tego i wezmą się rączo do polepszenia łąk i pomnożenia sobie dobrej paszy. Daleko więcej będzie takich, którzy tego nie

uznają i na uniewinnienie swojej niechęci powiedzą jak zwyczajnie: Ktoby tam podług xiążki gospodarzył! nasi ojcowie, dziadowie i pradziadowie tego nie robili, a chleb jedli.

Oto krótka odpowiedź. Wiele my robić musimy, czego nasi ojcowie, dziadowie i pradziadowie wcale nie robili, a czemuż nie mamy tego robić, z czego możemy mieć widoczny pożytek? Jestże to dobre przypatrywać się z założonemi rękoma, jak ulewne deszcze spłókują gnój z pola, unoszą go przegonicami, drogami i rowami do rzeki i strumieni, a te uprowadzają najlepsze części pokarmowe dla roślin, które potem służą rybom za pokarm, a tymczasem niejednego gospodarza bydło cierpi niedostatek latem i zimą!

RÓŻNOŚCI.

Oszuści. W Poznaniu szedł sobie ulicą jeden pan, a tu żebrak kulawy prosi go i molestuje, żeby mu dał jałmużnę. Pan wyjmuje złotówkę i daje żebrakowi.

— Nadtoś pan dobry, rzekł mu jakiś nieznajomy, że tyle dajesz temu hultajowi, który kalekę udaje, aby ludzi oszukać; tak on dobrze chodzi jak ja, pozwól mi pan na moment swej laski a zaraz to okażę.

W tem bierze laskę ze złotą gałką od pana i goni za onym niby kaleką, który w samej rzeczy okazał się zdrowym i dał drapaka. Obadwaj wkrótce zniknęli. Czekałci pan jeszcze czas niejaki, czy mu nie przyniesie napowrót on nieznajomy jego laski ze złotą gałką, ale napróżno.

Student i złodziej. Razu jednego wszedł złodziej w nocy do mieszkania jednego ubogiego studenta i zaczął szukać, coby mógł ukraść.

— Próżno się trudzisz, mój przyjacielu, rzecze w tem student, ja we dnie nic znaleźć nie mogę, a ty jakbyś miał co znaleźć w nocy?

Co to są pieniądze? Pieniądze — jest to mlyn, w którymby każden chciał mleć; rzeka w którejby się każden kąpał; orzech, któryby każden gryzł; łąka, którąby każden kosił; suknia, w którąby każden się stroił; kęsek, za którymby każden gonił; miska, do którejby każden zasiadał; kochanka, którąby każden poślubił; kwiat, któryby każden wąchał; drzewo, któreby każden trząsł.

Rzadkie przymioty psa. Pewna pani miała furmana, który pił tylko wódkę i piwo, i psa który pił samą czystą wodę. Furman upijał się, a

pies siedząc zwyczajnie na kożle, poznawał to natychmiast. Wtenczas jak gdyby miarkując, że furman nie ma tyle przytomności, aby wołać na przechodzących w poprzek gościńca, brał sam na siebie ten obowiązek, i szczekał przez całą drogę. Roztropność zwierzęcia zastępowała rozum człowieka. Pies nigdy nie szczekał, kiedy furman był trzeźwy. Jego milczenie zaspakajało zupełnie panią, która nieraz odwlekła swoją podróż lub wizytę, i wysiadła z powozu, gdy pies oznajmił, że stangret pijany.

Przebiegłość lisa. Pewien myśliwy stojąc długo ukryty w gęstwinie lasu, był świadkiem takiego wypadku. Stary i jak się zdawało, biegły w rzemiośle lis wyszedł ostrożnie z lasu i zaczął przypatrywać się bardzo wysokiemu pniu świeżo ściętego dębu. Widocznie jakaś myśl trapiła przebiegłego lisa, gdyż kręcił się ustawicznie na wszystkie strony, machał długą kitą, i oglądał się co chwila po za siebie. Nagle odbiegł o kilka kroków od pnia i zmierzywszy go jeszcze raz okiem, poskoczył ze wszystkiej siły ku wierzchołkowi. Próba udała się dobrze. Wyskoczył od pierwszego razu na sam szczyt pnia, i spojrzał bystro do koła. Potem zeskoczył chyżo na ziemię i po raz drugi, trzeci i czwarty powtórzył ten skok, jakby się chciał dobrze wyćwiczyć. Potem zerwał się nagle i znikł jak strzała w gęstwinie. Lecz po krótkim czasie powrócił spiesznie, niosąc w zębach sporą kłodę dębową. Z tym ciężarem ponowił tę samą sztukę skakania, a gdy już po któryś raz wskoczył z równą łatwością na wierzchołek, spuścił kłodę na ziemię, i pozostał na górze skulony we dwoje, z zwiniętą pod siebie kitą i wychyloną naprzód głową. Tak leżał całą godzinę bez najmniejszego ruchu. Nagle podniósł lekko głowę, a w tej samej chwili zaszeleściało w gęstwinie, i wielka dzika maciora z pięcią czy sześcią młodych wysunęła się z lasu. Lis leżał spokojnie, aż maciora na kilka kroków zbliżyła się ku jego stanowisku, potem jak strzała spuścił się na dół, pochwycił w przelocie jedno z warchląt, i nowym skokiem wrócił na szczyt pnia. Biedny warchlak zakwiczał co mu sił stało, Maciora obróciła się wściekle i przyskoczyła do pnia, jakgdyby go kłami z korzeniem wyrwać chciała. Lecz niestrwożony lis rozszarpał z najzimniejszą krwią swoją ofiarę i zaczął ją w oczach matki spożywać. Napróżno wspinała się w górę wściekła maciora, napróżno ryła ziemię dokoła, o twarde drzewo kły wyszczerbiała. Lis kończył spokojnie swoją biesiadę, i czasem tylko spojrzał złośliwie na biedną matkę, która po długich wysileniach w głąb lasu powróciła.

Samobójca. W Rypianach w cyrkule samborskim pewien wieśniak, co się napijał ciągle wódką, wyszedł w jasny dzień na dach swej chaty, obłożył się słomą i suchemi drańciami i wszystko to podpalił. I chata cała i on zgorzały do szczętu. Czego to wódka nie może!..

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.